



WSPÓLNEMI SIŁAMI.

Biedna liszka leży martwa na ziemi, jakiś okropny wypadek musiał ją spotkać, niestety! nawet wiadomość o tem żadna do nas nie doszła, wiemy tylko, że nie żyje. Liszka ta wcale nie jest ładna, gruba, niezgrabna, kosmata, niejeden może skrzywi się na jej widok; ale gdyby była dłużej pożyła, wyglądałaby wkrótce całkiem inaczej. Byłaby najpierw usnęła, otulona w jakąś powłokę, zmieniłaby się w nieruchomą poczwarkę, a potem, któż o tem nie wie? wyfrunąłby z tej poczwarki prześliczny jakiś motylek o skrzydełkach jaskrawych, ani podobny do brzydkiej, ciężkiej liszki.

Ale teraz już nic z tego nie będzie, liszka zginęła w kwiecie wieku, smutne jej szczątki leżą na ziemi, czekając pogrzebu. Oj, dużo jest różnych żarłocznych stworzeń, które nie dadzą tym szczątkom długo poleżeć spokojnie, zamiast pogrzebu biednej nieboszczce, one sobie z tego pękatego, kosmatego cielska wyprawia ucztę nielada. Oto szerszeń o pięknych skrzydłach przejrzystych, o jaskrawym odwłoku w żółte i czarne pręgi, siada na grzbiecie liszki i myśli sobie:

— Ja tam nie jadam mięsnych potraw, nie rozumiem nawet, jak można w takich obrzydliwościach smakować, sok z kwiatów i owoców jest daleko lepszy. Cóż, kiedy moje dzieci takie znów mają szczególne upodobanie, że tylko mięso jadają. Wczoraj udało mi się z kuchni wynieść pyszny kawałeczek polędwicy, to też miały bał prawdziwy. Jak wyrosną te dzieci, z robaczek, z gąsieniczek, przemienią się na takie skrzydlate owady, jak ja, będą także wolały roślinne pokarmy. Ale teraz to kłopot mam z niemi niemały; muszę mordować muchy i inne owady, choć mi to przykro, trudnoż jednak tym biednym malcom nie dogodzić, zginęłyby z głodu. Żebyż to jakim sposobem tę liszkę zaciągnąć do mojego gniazda, na długo byłaby spiżarnia zaopatrzona.

A gdy tak nasz szerszeń rozmyślał, nadeszła mrówka i śmiać się z niego zaczęła:

— Ach, co za niezgrabiasz! Dałbyś pokój, bo nie podołasz. Wiem ja dobrze, o co ci idzie, chciałbyś dzieciom ucztę wyprawić, ale nic z tego, kochanku, ta liszka pójdzie do naszego mrowiska.

— Co, co? — wołał szerszeń — toż dopiero zarozumiałość! Jeżeli ja nie zdołam dźwignąć takiego ciężaru, to jakżeż ty mu dasz rady? Wszak daleko mniejsza jesteś odemnie.

— Ba! zapewne, ja też nie myślę sama brać się do tej roboty, ale poczekaj, zobaczysz zaraz.

To powiedziawszy, mrówka śpiesznie odeszła, a po chwili wróciła, prowadząc za sobą gromadę ogromną towarzyszek.

— Oho ho, wielka mi sztuka! — wykrzyknął szerszeń — jak się zabierzecie taką kupą do roboty, to zapewne, że podołacie wszystkiemu. Ja jestem dość silny, ale sam jeden...

— Otóż to właśnie — przerwała mrówka z szyderstwem — ty jesteś zawsze sam jeden, a źle to bardzo nie mieć pomocy; wy, szerszenie, podobno nie umiecie utrzymywać przyjaznych stosunków pomiędzy sobą. My co innego, to też u nas w mrowisku robota idzie zawsze, aż miło. No, zabieraj się jegomość, nie przeszkadzaj, bo nie mamy czasu do stracenia.

Szerszeń z początku chciał się sprzeczać, dowodził, że on pierwszy odkrył liszkę, pierwszy się na niej usadowił, więc za prawego właściciela powinien być uważany. Niewiele to jednak pomogło; mrówki oczywiście żartowały sobie z prawa, często i u ludzi siła idzie przed prawem, a cóż dopiero u zwierząt! Gdy więc nie chciał szerszeń zläzić, rzuciły się mrówki na niego ze wszystkich stron, jak zaczęły go kłuć i szarpać, szturchać i popychać, musiał w końcu wynosić się, jak niepyszny.

Mrówki wówczas po swojemu zabrały się do roboty. Ustawiły się we dwa rzędy, jeden po prawej stronie liszki, drugi po lewej, potem z wolna, cierpliwie, podważały, popychały, a zawsze wszystkie razem, zgodnie, porządnie, wkrótce też ogromne cielsko poruszyło się z miejsca i posuwało coraz dalej. Droga do mrowiska dosyć była daleka, przytem uciążliwa, niewygodna, musiały nasze mrówki przebywać góry, wąwozy, okrążać zarośla, namęczyły się niemało, lecz postawiły na swoim, przywlokły szczątki liszki do swojej podziemnej spiżarni. Drobne, wątłe stworzenia mogły to zrobić jedynie wspólnymi siłami.

ROZWAGA PO CZASIE.

Lusia biegła po pokoju, śpiewając swojej małej córeczce, przyczem huśtała ją tak mocno, że biednej lalce rozwiewały się jasne włosy, zwinięte w loki, a gdyby słyszeć mogła, to prędzejby ogłuchła od tego śpiewu, aniżeli zasnęła. Ale na szczęście córeczka Lusi była taką samą, jak wszystkie córeczki porcelanowe i gipso-

we, więc krzyki Lusi nie robiły na nią żadnego wrażenia.

Za Lusią biegał znów Włódzio, ciągnąc za sobą bryczkę, zaprzęzoną w siwego konika, który za każdym szarpnięciem sznurka podskakiwał tak wysoko, że aż bryczka unosiła się w górę i groziła przewróceniem.

Włódzio trąbił na trąbce, bo jechał pocztą, a musiał się śpieszyć, aby zdążyć na kolej, którą miał podążyć na imieniny babuni. Mimo że konik nie opóźniał się ani sekundy, i tuż postępował za nóżkami Włodzia, chłopczyk niecierpliwiał się bardzo na niego i jak tylko chwilę przestał trąbić, wołał:

— Wio! wio! śpiesz się, leniuchu, bo pociąg odjedzie i nie zdążę na bal do babuni.

Po tej przemowie rozpoczynało się znów trąbienie, a w pokoju był taki hałas, że kanarek w klatce na oknie myślał widocznie, że się pali, bo krzyczał także, jak na gwałt jaki, i aż się wspinał na paluszki, przekrzywając główkę, jakgdyby wyglądał, żkąd pomoc nadejdzie.

Myślicie może, kochane dzieci, że to koniec na tej głośnej trójce, wcale nie, bo oto zbudzony ze snu smacznego Wiernuś usiadł na poduszce, a ziewnąwszy parę razy, przeciągnął się i dalejże gonić konika, czekając przytem zapamiętałe.

Łatwo sobie wyobrazić, jaki to tam był wrzask i hałas, nic więc dziwnego, że dzieci nie słyszały, jak drzwi się otworzyły i do pokoju weszła przestraszona mama, a za nią ciocia.

— Co się tu robi? — zapytała mama uspokojona, widząc, że dzieciom nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

— „A, a, kotki dwa” — śpiewała na cały głos Lusia, nie przestając biegać, i przymrużając swoje oczki, jakby dla zachęty, aby i lalka to samo zrobić zechciała.

— Wio! wio! — krzyczał Włódzio, przytupując nóżkami i szarpiąc biednego konika.

— Hau! hau! — czekał Wiernuś, starając się uchwycić zębami bryczkę, która podskakiwała, jakgdyby na największych kamieniach.

A kanarek wyciągał tak wysokie tony, na jakie tylko jego gardziółko zdobyć się mogło.

— Dzieci! — zawołała mama głośno — uciszcie się; któż w pokoju tak hałasuje, jak w lesie, pogłuchnąć wszyscy możemy.

Ale dzieci biegały w koło, ani myśląc zaprzestać tej wrzaskliwej zabawy.

— Lusi! Włodziu! — rzekła ciocia, pomagając mamie w uspokojeniu hałaśliwej gromadki.

Ale wszystko napróżno, ani śpiewy, ani trąbienie nie ustało na chwilę, a dzieci udawały, że nie widzą mamy i cioci.

— Wiernuś! — zawołała mama — cicho, nie szczekaj.

Piesek natychmiast przybiegł do mamy, zaczął się łaścić i przymilać, jakby przepraszając za hałas, jaki wyprawiał przed chwilą. Ciocia tymczasem podeszła do klatki, i nachylając się, rzekła:

— Cicho bądź, Mimi, lepij śpiewać, gdy nikt nie hałasuje, tak nikt cię nie słyszy, powiększasz tylko ten wrzask nieznośny.

Czy ptaszek zrozumiał tę przemowę, nie wiemy, to

pewna, że przestał śpiewać, a widocznie był bardzo zmęczony, bo skoczył do kubeczka pić wodę. Tylko Lusia i Włódzio biegali jeszcze i krzyczeli bez przerwy.

— A to szczególna rzecz — rzekła mama — że Wiernuś i Mimi mają więcej rozumu, aniżeli Lusia i Włódzio.

— I więcej nas kochają — dodała ciocia — bo usłuchali odrazu.

Dzieci słyszały te słowa, i Lusia zwolniła trochę kroku i ciszej śpiewała:

— „Kotki dwa, szare bure obydwu”.

A konik widocznie wjechał na piaski, bo ledwie się poruszał, trąbka wisiła spokojnie na tasiemce, a Włódzio postępował w milczeniu, jakby czegoś zafrasowany.

— Chodź, Wiernuś, pójdziemy do lasku na poziomki — rzekła mama — będziesz tam biegał i szczekał dowoli.

— A tobie Mimi, przyniosę poziomek i nasypię na miseczkę; wiem, że lubisz ten przysmaczek — rzekła ciocia.

— Mateczko! — zawołała Lusia — czy i my pójdziemy?

— Ach, mam! — powtórzył Włódzio, porzucając konika — pójdziemy do lasku, ja tak lubię zbierać poziomki.

Ale mama rozmawiała z ciocią i nic nie słyszała, co dzieci mówiły, ciocia także nie słyszała, choć dzieci czepiały się jej sukni, prosząc, aby iść mogły.

Wtem... dzieci się przeraziły najokropniej, bo mama, nie spojrzawszy nawet na nie, otworzyła drzwi i wyszła, Wiernuś w radosnych podskokach ją wyprzedził, tylko ciocia, trzymana silnie za suknię, stanęła.

— Ciociu! ach, cioteczko! — wołała Lusia z płaczem, a Włódzio jej pomagał — czy my naprawdę nie pójdziemy do lasku?

— Jakto? więc słyszeliście, żeśmy o tem mówiły? — zapytała ciocia ze zdziwieniem.

— O tak, słyszeliśmy doskonale — zawołali razem prawie.

— To być nie może, żebyście to słyszeli — powtórzyła ciocia, kręcąc głową.

— Dlaczego być nie może? — zapytał Włódzio — przecież mama mówiła to głośno.

— O wiele ciszej niżeli wówczas, gdy mówiła do was, abyście się uspokoiли — rzekła ciocia — Wiernuś wprawdzie usłyszał odrazu, i przestał szczekać natychmiast, no, ale piesek widocznie ma słuch lepszy.

— Ciociu... — szepnęła Lusia, spuszczać oczki — ja chciałam usnąć lalkę.

— A ja chciałem zdążyć na pociąg — przerwał Włódzio — jechałem na babci imieniny.

— Więc wam nie przeszkadzam — rzekła ciocia, idąc do drzwi — oto twoja lalka, Lusi, ma oczy otwarte, zatem śpiewaj jej dłużej, a ty, Włodziu, trąb i krzycz, abys się nie spóźnił na pociąg.

— Już nie będziemy hałasowali — rzekli oboje — tylko weź nas, cioteczko, do lasku.

— Chcecie teraz być posłuszni dla tego, aby iść na ulubioną przechadzkę — rzekła ciocia poważnie — to wcale nie jest z waszej strony posłuszeństwo na głos

mamy, którego każde dobre dziecko słuca, nie dla nagrody, ale z miłości, której widocznie w waszych sercach niema.

— Ciociu — zawołali razem — my naszą mamę kochamy nad życie!

— Słowem, ale nie uczynkiem — odrzekła ciocia — tymczasem nie zatrzymujcie mnie, musimy się śpieszyć, bo tam tatuś czeka na nas pod lasem, a wy tu sobie przez ten czas rozmyślajcie, czem dzieci dowieść mogą miłości swój dla rodziców.

Ciocia wyszła, a Lusiu i Włodzio, ukrywając buzie w rączkach cicho płakali.

Po kilku chwilach uspokoili się, a siadłszy na małych stołeczkach, zaczęli rozmawiać z żywością; a o czem?... to pewnie kochani czytelnicy sami odgadną z łatwością.

Kazimiera.

WIELKIE ZDOLNOŚCI,

POWIASTKA Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA

przez Z. Morawską.

I.

— Mój Stasiu, skończyłeś dziś lat dziewięć — rzekł ojciec do swego jedynaka — Pan Bóg dał ci zdolności, trzeba więc, żebyś się bardzo pilnie brał do nauki. Od wakacyj bowiem musisz iść do pierwszej klasy.

Staś pocałował ojca w rękę i powiedział, że zda egzamin, chociażby nawet do drugiej.

— Zdam tylko do pierwszej, więc nie wymagam — rzekł ojciec, a potem dodał:

— Na wakacje pojedziemy na wieś, do wujaszka, będziesz mógł tam używać wszelkich przyjemności, ale pamiętaj, chłopcze, żebyś mi za powrotem wstydu nie zrobił i zdał egzamin, jak należy.

— Ale niech się ojczulek nie boi! ja tak wszystko doskonale umiem, że choćby mnie kto w nocy obudził, to bym recytował, jak pacierz.

No, no, nie chwal się tak bardzo, bo wczoraj slyszalem, że arytmetyka szła kulawo.

— Ale bo widzi tatunio, pan S. tak jakoś dziwnie zapytał, żem nie mógł od razu zrozumieć, a zresztą arytmetyki nie lubię.

— Już to tam w szkołach pytać cię nie będą, co ty lubisz a czego nie lubisz, tylko wszystkiego uczyć się trzeba, inaczej źle będzie z tobą, mój chłopcze.

— Ja się nie boję; a czego bym nie umiał, to się jeszcze przez wakacje douczę. Przecież ojczulek wie, że mam wielkie zdolności.

— Wiem, mój synu, i dlatego pragnąłbym, żebyś tych zdolności nie zmarnował.

— No, no! — odpowiedział chłopiec z pewną zarumiannością.

Staś rzeczywiście miał wielkie zdolności, był sprytny, co tylko przeczytał lub usłyszał, mógł zaraz prawie na pamięć powtórzyć, a czego nie spamiętał, to własną fantazją dopełnił. Często nawet zdawało mu się, że gdyby to wydrukowali, co on powie lub napisze, to byłoby daleko piękniejsze od tego, co czyta w książkach.

Chwalono go, gdy mówił wiersze lub opowiadał to, co przeczytał; udało mu się robić niezłe wypracowania, umiał nawet niezłe list napisać, nie robił wiele błędów ortograficznych, pisał też dosyć starannie, tak mu się więc przewróciło w głowie, że raz nawet opisał jakieś zdarzenie i posłał do „Wieczorów Rodzinnych”. Odtąd, jak tylko przynosili Wieczory, zaraz szukał odpowiedzi dla siebie; pewny zaś był, że jego utwór będzie przyjęty i zyska ogólną pochwałę. Z bijącym sercem brał więc każdy numer do ręki, a nie znajdując przez kilka tygodni odpowiedzi dla Orła królewskiego, bo taki wybrał pseudonym, rzucał niechętnie ulubione dotąd Pismo i nie czytał go wcale. Nareszcie wyczytał:

— „Dziesięcioletni Orzeł królewski niech się uczy pilnie, pracuje, może kiedyś będzie mógł spożytkować swoją pracę, dziewięcioletnie dzieci, choćby najzdolniejsze, powinny się uczyć, a nie myśleć o drukowaniu swoich artykułów.” Jeszcze z większą niechęcią odrzucił numer, który mu przyniósł taką odpowiedź, obraził się na „Wieczory”, nie czytywał ich odtąd wcale, i prosił rodziców, żeby mu inne pismo zaprenumerowali.

Rodzice, chcąc synkowi dogodzić, a myśląc przytem, że Staś taką ma chęć do czytania, zaprenumerowali „Przyjaciela Dzieci”.

Staś wkrótce znów napisał jakąś powieść, i jak mu się zdawało, ta była już tak doskonałą, że z pewnością nietylko wydrukowaną zostanie, ale jeszcze ogólną zyska pochwałę. I znów zaczęło się to samo, że Staś szukał w każdym numerze odpowiedzi dla Stanisława, bo już swoim własnym imieniem się podpisał.

I znowu po kilku tygodniach brzmiała odpowiedź w „Przyjacielu Dzieci”.

„Stanisławowi radzimy, aby nauczył się najpierw porządknie litery stawiać, ortograficznie pisać, do nauk wykładanych przykładając się z ochotą, to może kiedyś będzie mógł pisywać powieści. Dzieci powinny się uczyć. Artykułu nadesłanego drukować nie będziemy”.

Odpowiedź ta poróżniła go znów z „Przyjacielem Dzieci” rzucił numer, który mu taką prawdę wypowiedział i tak samo jak „Wieczorów” nigdy już „Przyjaciela” nie wziął do ręki. Zato chwycił Kuryer i gazety, pisane dla starszych, czytał, czy rozumiał czy nie rozumiał, a że w onym czasie wychodziła słynna powieść Sienkiewicza pod tytułem: Ogniem i mieczem, czytał ją chciwie nie rozumiejąc o co chodzi, ale czytał; czasem popisywał się z opowiadaniem jakiegoś ustępu, a nawet powiedział sobie, że i on taką powieść napisze. Kto wie, może i lepszą! Byłby nawet zaczął już pisać, tylko mu nauczyciel ciągle przeszkadzał gramatyką, arytmetyką, ba, nawet kaligrafią i katechizmem.

— Ciekawym bardzo poco się to tego wszystkiego uczyć? czy to w powieściach mówią o tem, albo ktoś uczony dodaje na tablicy, albo odmienia rzeczowniki i słowa? — mówił sobie Staś i coraz niechętniej brał się do nauki, a pan S. coraz więcej skarżył się na niego, powtarzając:

— Mój Stasiu, jeżeli tak dalej pójdzie, i nic się uczyć nie będziesz, to mimo twoich rzeczywistych zdolności, nie zdasz egzaminu i na zawsze pozostaniesz nieukiem.

(d. c. n.)

Łamigłówka kryształowa.

(Od Gosposi z nad Warty dla Gołąbki pocztowej).

1. Samogłoska.
2. Utwór poetyczny.
3. Budynki pożyteczne.
4.
5. Imię wschodnie.
6. Zwierz drapieżny.
7. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko poety.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 32 go.

Szarady:

San — na.

Skrzynka do listów.

Konwalijka różowa już po rozstrzygnięciu konkursu nadesłała odpowiedź, dlategoż wzmianki o tem nie było w sprawozdaniu. Gama Cdur wielką nam sprawiła przyjemność przysłaniem fotografii, jest to dla nas dar najmiłszy. Niech tam Gama kocha-

na pozdrowi od nas turnie tatrzańskie, gdy wyrzą na świat, bo często pewnie w tym roku toną w gęstych chmurach.

Wiosna ślicznie robi, że w chwilach wolnych o konkursie wakacyjnym pamięta, najskromniejsza praca ubogim się przyda, a Wiośnie kochanej zadowolenie wewnętrzne przyniesie. Termin bywa oznaczony podług nowego stylu.

Jagódka i Kotek z Podola poczciwie mają serduszka, oby Bóg błogosławił te dzieci kochane, jak je błogosławią ubodzy za hojne dary.

Kanarka prosimy o wyjaśnienie, dlaczego w szaradzie powiada o pewnym pokarmie, że „w północnych krajach tylko jest nieznan”? Nigdy nie słyszeliśmy o tem, aby mieszkańcy północy wyłącznie przysmaku tego byli pozbawieni.

P. Ioanna Herz numer 1 z r. 1885 „Przyjaciela Dzieci” wyczerpany kop. 25 zapisaliśmy na rachunek sz. Pani.

Hr. Szem. w Krakowie rs. 5 policzyliśmy na całoroczną prenumeratę Wieczorów R. rs. 1 pozostaje u nas do dalszego rozporządzenia.

P. Zwierk. w Różnicy nie znaleźliśmy w liście marek pocztowych odebraliśmy tylko rs. 2.

P. Zawadzki w Udryczach na prenumeratę II półroczną r. b. złożono nam rs. 2 należy nam się jeszcze kop. 50.

Moja droga Praco! Nie możesz sobie wyobrazić, jaką mi sprawiłaś przyjemność przysłaniem łamigłówki; chciałam ci się w ten sam sposób odwdziżyć ale, usiłowania moje były daremne. Węc przyjmij najserdeczniejsze podziękowania od szczerze cię kochającej Cyganecki z nad Wisły.

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Julek i Lusia kop. 33. — I. S. kop. 5. — Lis z Mazowsza zebrane z loteryi fantowej rs. 4 kop. 60.

Ubrania dla biednych dzieci: Helcia, Zosia, i Marysia S.

Myszka.



Ach ta nor - ka tak nu - żą - ca, Smu - tno wciąż w cie-mnościach żyć; Na - po - dwór - ku



tam blask słoń - ca, Tam we - soło mu - si być. Jam ko - te - czek bia - ły gład - ki, Ze mną i - grać mysz -



ko, chódź, Prę - dzój idź, nie py - taj mat - ki, Z kot - kiem i - grać mysz - ko chódź! [Trzecia strofka tak jak pierwsza].

Dzieci z pomiędzy siebie obierają myszkę, starą młodą i kota; reszta dzieci tworzy koło, czyli norkę myszki.

W kole siedzi stara mysz, a młoda biega w kole i niekiedy wysuwa główkę poza koło i śpiewa:

Ach! ta norka tak nużąca,
Smutno wciąż w ciemności żyć;
Na podwórzu tam blask słońca,
Tam wesoło musi być.

Na głos myszki wychodzi z kąta kot, idzie wolno i pocichu, przygląda się myszce i śpiewa:

Jam koteczek biały, gładki,
Ze mną igrać myszko, chódź;

Prędzej idź, nie pytaj matki,
Z kotkiem igrać chodźno chódź.

Stara mysz wtedy zwraca się do młodej i śpiewa:

Ej, posłuchaj matki rad,
I od kotka łapek stroń;
Bo jak złapie, cap-carap,

Zginiesz, myszko, więc się broń.

Myszka tymczasem wysuwa się, a kot ją goni dopóki nie złapie.

M. Weryho.